

Gilbert Keith Chesterton

Obrona patriotyzmu

Już od dwóch stuleci sceptycy atakują patriotyzm, podobnie jak wszystkie inne ideowe pasje ludzkości. W wypadku patriotyzmu atak jest nawet ciekawy i godny szacunku, bo prowadzi go grupa współczesnych pisarzy będących czymś więcej niż tylko sceptykami. Kieruje nimi autentyczna wiara w określone systemy światopoglądowe.

Rosnąca w siłę sekta wyznawców Tołstoj a, wspólnie z intelektualistami z różnych szkół, w bezpośrednim ataku podważa ideę patriotyzmu twierdząc, że klóci się ona z szerszą ideą - miłością do całego rodzaju ludzkiego. Dla nich to, co szczególne, jest zawsze wrogiem tego, co ogólne. Każdy naród, ich zdaniem, jest rywalem dla ludzkości. Ba, nieraz myślą, że każdy człowiek jest rywalem dla ludzkości. Przypominają trochę - a nie jest to przyjemne skojarzenie - pewien gatunek ludzi, twierdzących, że nie należy chodzić do kościoła, gdyż Bóg jest wszechobecny, a w kościołach Go nie ma.

Nowocześni intelektualiści nie akceptują patriotyzmu i nie chcą się angażować w sport, jakim jest rywalizacja między

narodami, mimo że jest to sport ochoczo uprawiany przez całą resztę świata. Toteż ich miłość do Człowieka emanuje zimną, nierealną aurą. Gdyby ich spytać, czy kochają ludzkość, odpowiedzą, bez wątplenia szczerze, że owszem, jak najbardziej. Ale jeśli spytamy, czy podoba im się taka czy inna klasa społeczna spośród tych, które łącznie składają się na ludzkość, okazuje się, że nie cierpią ich wszystkich. Nienawidzą królów, nienawidzą księży, nienawidzą żołnierzy, nie znoszą żeglarzy, nie ufają naukowcom, oskarżają klasy średnie, załamują ręce nad robotnikami - lecz uwielbiają ludzkość. Tyle tylko, że zawsze mówią o ludzkości niczym o egzotycznym obcym narodzie. Coraz bardziej wyobcowują się spośród ludzi, by opiewać tę precudną, ogólnoludzką zbiorowość. Zatracają więc z ludźmi na drodze do humanizmu.

Prawda oczywiście wygląda tak, że to, co ogólnoludzkie, będzie nam dużo bliższe, jeśli uznamy, że pozostajemy w najlepszych możliwych stosunkach z ludźmi, którzy bezpośrednio nas otaczają. Ktoś, kto kocha własne dzieci, wykazuje nastawienie znacznie bardziej ogólnoludzkie niż ktoś, kto niańczy małego hipopotama czy wozi w wózku świeżo wyklutego krokodyla. Ba, wykazuje nastawienie wręcz uniwersalne. Kochając swe dzieci człowiek czyni coś, co jest nie tylko ludzkie, lecz, że tak powiem, także hipopotamie. Niańcząc swe dziecko postępuje w sposób bardziej hipopotami, niż gdyby niańczył małego hipopotamka. To samo dotyczy patriotyzmu. Ignorując patriotyzm miłośnik ludzkości tak naprawdę ignoruje ludzkość. Ten, kto kocha własny kraj, niekoniecznie wygłasza peany ku czci ludzkości, lecz w gruncie rzeczy wychwala ludzkość nie słowem, lecz czynem - po prostu naśladownictwem.

Zasadnicza duchowa korzyść z patriotyzmu i innych podobnych emocji polega na tym, że dzięki tym uczuciom wszystko na świecie jest kochane tak, jak powinno, bo wszystko jest kochane indywidualnie. Kosmopolityzm oferuje nam jeden wielki kraj, który jest, owszem, dobry; nacjonalizm oferuje setkę krajów, z których każdy jest najlepszy. Kosmopolityzm daje nam stopień równy, nacjonalizm stopień najwyższy. W jednym wypadku mamy pozytywne określenie, w drugim wielki chór superlatyw. Patriotyzm sławi świat poczynając od tego, co najbliższe, i w ten sposób daje pewność, że wszystko na świecie zostanie należycie docenione - a to jest, być może, sprawa najbardziej zasadnicza. Gdziekolwiek wylania się z morza góra o

dziwnym kształcie, gdziekolwiek rośnie owoc hen w dalekim lesie, patriotyzm sprawia, że nie przypadną one w mroku zapomnienia, lecz będą żyły w pieśni.

Jest też inna rzecz, która mnie skłania, bym stanął po stronie zwolenników idei patriotyzmu. Istnieją mianowicie dwie metody, za pomocą których inteligentny człowiek może podejść do problemu owego umiarkowania, tak ważnego w każdej sprawie - gdy chodzi o wino, wojnę, seks czy patriotyzm; umiarkowania pozwalającego cieszyć się winem bez pijaństwa, prowadzić wojnę bez masakry, uprawiać miłość bez rozwiązłości i patriotyzm bez sir Alfreda Harmswortha¹. Pierwsza metoda, zalecana przez wielu poważnych ludzi od zarania dziejów, może być w skrócie nazwana metodą zakazową. Głosi ona, że lepiej w ogóle obywać się bez tych wielkich, odwiecznych pasji, bo są one ewidentnie niebezpieczne. Zwolennicy drugiej metody (do których ja się zaliczam) uważają, wręcz przeciwnie, że jedyny definitywny i skuteczny sposób, by wykluczyć niebezpieczeństwo, to doświadczyć tych pasji i dogłębnie je pojąć. Naszym zdaniem każde silne uczucie niesie ze sobą pewien lęk, a jeśli zaangażujemy wyobraźnię, ten lęk staje się najlepszą barierą dla przesady. Innymi słowy, żeby bać się wojny, trzeba coś o niej wiedzieć; żeby bać się miłości, trzeba ją przeżyć; żeby unikać nadmiaru wina, trzeba zdać sobie sprawę, że jego dobrodziejstwa są ryzykowne. I do tej samej kategorii należy patriotyzm. To całkiem jak z podejściem do umiarkowania w islamie i chrześcijaństwie. Islam czyni z wina truciznę; chrześcijaństwo czyni z wina sakrament.

Wielu nowoczesnych humanistów boi się patriotyzmu, widząc w nim zarzewie wojen. W pewnym sensie to prawda; choć religia i miłość też wzniecały wojny. Ludzie zawsze będą walczyć o to, co jest im drogie, i nieraz zresztą słusznie. Ale nie trzeba też tracić z oczu innej sprawy: że w miarę jak ludzie mądrzeją, zaczynają rozumieć, że siłowa rywalizacja między jednym elementarnym, mistycznym przywiązaniem a innym elementarnym, mistycznym przywiązaniem to czysta głupota. Ludzie mogą walczyć dla racjonalnych przekonań, jeśli zwycięstwo dowiedzie czyjejs racji. Lecz przekonania irracjonalne są zbyt subtelne, by się o nie bić, bo zwycięstwo nie dowiedzie niczego. Każdy z nas uważa swój kraj za najlepszy na świecie. Na tej samej zasadzie każdy z nas mógłby uważać swoją matkę za najlepszą na świecie. Ale nie poddajemy tej opinii sprawdzianowi wojny i wcale się do tego nie rwiemy. Nie wystawiamy naszych matek jako zawodniczek w amfiteatrze, by ze sobą walczyły, a to z tego znakomitego powodu, że jeśli jedna matka pokona drugą, nic kompletnie z tego nie wynika - nikomu nie robi to różnicy. To zresztą, nawiasem mówiąc, jedyny istotny argument przeciw pojedyńkom. Że pojedynki kończą się śmiercią, to argument stosunkowo błahy; śmiercią kończy się bardzo często mecz futbolowy, polowanie na lisy czy pobyt w londyńskim szpitalu. Lecz pojedynek to krwawa, bolesna procedura, mająca na celu rozstrzygnąć spór - którego nie rozstrzyga.

Kosmopolicie, który powiada, że kocha ludzkość i nienawidzi lokalnych patriotyzmów, odpowiadam zatem: jak możesz kochać ludzkość, skoro nienawidzisz czegoś, co jest tak bardzo ludzkie?

Drugim wrogiem patriotyzmu jest - nie muszę chyba mówić - idea pospolicie zwana imperializmem. Imperializm planuje zniszczyć patriotyzm nie poprzez snucie odległych i nieosiągalnych wizji o połączeniu różnych ludów, lecz poprzez praktyczne wskazanie, jak i gdzie można połączyć jeden lud z drugim w konkretnym dziejowym momencie. Imperializm to oportunistyczny kosmopolityzm. Jestem świadom, że w całym partyjnym rozgardiaszu sprawa imperialistów została w pewnym stopniu wsparta przez apele do nieśmiertelnych uczuć patriotycznych, jest to jednak tylko element wyborczego zamętu, pospolitego w każdym kraju, a już zwłaszcza w Anglii. Uczucia patriotyczne bywają wykorzystywane na

potrzeby imperializmu, ale na tej samej zasadzie, jak nienawiść do tyranów mogła zostać wykorzystana przeciw Rewolucji Francuskiej lub litera konstytucji przeciw Pymowi i Hampdenowi² - to znaczy szczerze i niebezpiecznie, lecz bez oglądania się na faktyczną rozbieżność między koncepcjami. Kiedy się nad tym dobrze zastanowić, jest oczywiste, że nie może istnieć żaden imperialny patriotyzm, bo nie da się odczuwać wobec wielkiej i nieokreślonej gromady ludów, reprezentujących całą różnorodność ludzkiego dobra i zła, dokładnie takich samych uczuć, jakie - słusznie lub nie - budzą w człowieku obyczaje jego własnych przodków i jego własny kraj, gdzie się urodził. Jeśli patriotyzm nie oznacza jasno określonych preferencji dla konkretnych tradycji czy okolic, to nie oznacza w ogóle nic.

Imperium - takie jak Imperium Rzymskie, z jego Grekami, Gotami i Brytanią, lub Imperium Brytyjskie, z jego Holendrami, Murzynami i Chińczykami z Hong Kongu - może jak najbardziej stanowić obiekt szacunku lub intelektualnego podziwu, ale niedorzecznością jest nazywać ten podziw patriotyzmem albo w imieniu Imperium przywoływać starodawne bóstwa, przynależne do ogniska domowego, wzgórza czy rzeki.

Patrząc od strony czysto duchowej, uważam, że normalny człowiek nie potrzebuje ani kosmopolityzmu, ani imperium. Potrzebuje czegoś, co w takim czy innym stopniu znajdzie w nacjonalizmie. To znaczy - więzi z homogeniczną społecznością o wyobraźalnych i sterowalnych rozmiarach, wystarczająco wielką, aby budziła w nim respekt, bo jest zakorzeniona w historii, i wystarczająco małą, aby budziła przywiązanie, bo on sam jest w niej zakorzeniony. Gdybym był bogiem planującym idealną planetę, gdybym był poetą wymyślającym utopię, podzieliłbym świat na takie właśnie społeczności, jednorodne i niezbyt duże. Nie mogę powiedzieć, że wizja kosmopolitycznego globu jest dla mnie odległym ideałem. Dla mnie to nie ideał, lecz koszmar.

Będąc przekonany, że człowiek może znaleźć zdrowy, normalny dom tylko w społeczności znacznie mniejszej niż imperium, i że taka społeczność jest dla ludzi lepsza niż kosmopolityczna anarchia lub imperializm, spoglądam zatem na historię i odkrywam coś ciekawego. Odkrywam mianowicie, że kultura, która wysforowała się na lidera reszty świata, nie tylko rozgałęziła się czy rozpadła na takie właśnie społeczności, lecz w dodatku uznała je, w ogólnym zarysie, za święte. Europa, najpraktyczniejsza cywilizacja na świecie, to również jedyna na świecie cywilizacja nacjonalistyczna. Imperializm jest azjatycki. W najlepszej i najbardziej intelektualnej formie rozwinął się w Chinach. W Europie rozwinęło się poczucie świętości narodu. W wielu miejscach na ziemi ludzie walczyli o niezależność własnego plemienia, lecz tylko w naszej nacjonalistycznej Europie pojawiła się idea, że trzeba szanować niezależność innych plemion. I w ten sposób Europa zdała egzamin - przeszła jedyny test, dzięki któremu można stwierdzić, czy wiara religijna jest autentyczna. Ktoś, kto twierdzi, że życie jest święte, bo chce ocalić swoje własne życie, wcale nie musi wierzyć w to, co mówi. Udowodni, że w to wierzy, jeśli oszczędzi życie swego wroga. To samo dotyczy uczuć narodowych. Dlatego właśnie protestowałem swego czasu przeciw aneksji Transwału: była to zbrodnia przeciw europejskiej cnotie patriotyzmu. Człowiek równie zasadnie może uznać, że brytyjski patriotyzm każe mu niszczyć naród burski, jak uznać, że poczucie świętości małżeństwa każe mu uciec z żoną sąsiada.

To prawda, że imperium nieraz wygląda na silne, a naród na słabowity, ale to tylko dlatego, że wszystko, co wieczne, wydaje się słabe. Na podłożu tego prostego odkrycia wyrosła też religia. Imperia są lekkie i ulotne; wiodą krótki żywot motyla. Narody są twarde, solidne i tryumfujące; nic ich nie złamie. Największe nawet imperium to w pewnym sensie moda. Najmniejszy nawet naród jest czymś więcej niż modą - jest obyczajem.

Mieszkańcy naszych wielkich miast i czytelnicy wielkonakładowych gazet - zapewne najbardziej naiwni ludzie, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi - mają mocno wbite do głów, że takie zdarzenia jak aneksja Transwalu to część normalnych procesów dziejowych. Uważają, że wielkie imperia europejskie zawsze połykały małe europejskie narody, tak jak wieloryb połyka śledzie. Ale nie znają własnych dziejów. Kiedy patrzymy na historię, zdumiewa nas, że tak rzadko dochodziło do wchłonięcia jednego narodu przez drugi. Najzagorzalszy nawet nacjonalista przyzna, że na tym ponurym i brutalnym świecie powinno się to zdarzać regularnie - i regularnie powinno odnosić skutek.

Nic podobnego. Do takich aneksji dochodziło rzadko, a już nigdy nie były skuteczne. Nawet kawałki narodu, odgryzione przez drapieżnika, okazywały się trudne do przełknięcia, jak w wypadku Alzacji i Lotaryngii. Owszem, pierwotne plemiona, żyjące w zamęcie dziejów, nieposiadające uczuć narodowych w europejskim tego słowa znaczeniu - a plemiona takie żyły kiedyś w Europie i do dziś żyją w Azji - zostawały nieraz pokonane i wchłonięte. Ale naród to zupełnie co innego. Niektóre chrześcijańskie narody zostały, owszem, pożarte; lecz żaden nie został strawiony. Części Polski wciąż ciężko zalegają na żołądkach imperiów środkowej Europy. Irlandia wciąż przyprawia Anglię o bolesną niestrawność. Żywe narody nie zostały przez naturę przeznaczone do pożarcia.

Niewielka społeczność ma tę wadę, że jest zagrożona umysłową ciasnotą, ale ma też istotną zaletę: posiada znacznie lepszy kontakt z rzeczywistością. Na obecnym etapie dziejów powinniśmy się zastanowić, co jest dziś groźniejsze dla ludzkości: czy ciasna arogancja małych narodów, czy złudne rojenia imperiów. Nasza cywilizacja stoi u progu możliwego upadku. W tym jednak punkcie też mam inne zdanie niż imperialiści. Oni twierdzą, że lekarstwem jest imperializm (czyli kosmopolityzm). Ja uważam, że imperializm (czyli kosmopolityzm) jest naszą chorobą. Abstrahuję w tej chwili od rozważań, czy wszelakie standaryzacje, fuzje, centralizacje, statki transoceaniczne i łączność telegraficzna są same w sobie dobre, czy złe. Ale wysiłki, by wyleczyć zło Birmingham i zbawić duszę Chicago za pomocą jeszcze większej ilości fuzji, centralizacji, statków i systemów łączności, to dla mnie czysty obłęd. To jakby lekarz przepisał brandy pacjentowi dygocącemu w delirium tremens. Właśnie przez to wszyscy cierpimy: przez nieodpowiedzialne dziennikarstwo, przez mętne pojęcia o geografii, przez zaperzone dyletanctwo, święcie wierzące, że zna się na wszystkim, przez urzędowe zainteresowanie każdym obywatelem, przez utratę wyrazistych typów narodowych, przez zanik zbiorowej pamięci, przez zatracenie hamulców płynących z religii, przez brak bojaźni Bożej. Nasze problemy nie wynikają z tego, że jesteśmy zanadto podobni do aroganckich, okrutnych zelotów, którzy władali Spartą czy ginęli przy upadku Jerozolimy - i nie grozi nam bynajmniej to przykre podobieństwo. Nasze problemy wynikają z tego, że jesteśmy podobni do motłochu w dekadentym Rzymie.

Trzeba za wszelką cenę wrócić do mniejszych jednostek politycznych, gdyż trzeba za wszelką cenę wrócić do rzeczywistości. Tylko w ten sposób znajdziemy się bliżej miłości, nienawiści, zdrowego rozsądku, własnego zdania i prawdy w twarzach ludzkich. Dzisiejsze gry polityczne są już tak splątane, że każdy gra przeciw wszystkim. W zachodzącym słońcu naszej dekadencji cienie są dużo większe od ludzi, którzy je rzucają.

za: Obrona świata, Warszawa 2006, ss.123-133 (tłum.J.Rydzewska)

Gilbert Keith Chesterton

